

1968 rok

Jadąc 6 marca 1968 r. „Górnikiem” do Warszawy na egzamin z kursu zastosowań matematyki u doc. Bittnera nie wiedziałem, co się w stolicy dzieje, mimo iż „Wolnej Europy” słuchałem często. Do głowy mi nie przychodziło, iż może to dotyczyć przez przypadek też mojej osoby. Czytając notatki z rachunku operatorów nie zwracałem większej uwagi na kolejne kontrole konduktorów z PKP i SOK. Swoim zwyczajem z Warszawy Gł. szedłem piechotą do hotelu ZNP na Powiślu. W samym centrum było poruszenie, pełno milicji, a ja zdziwiony słyszałem krzyki, zaś przypadkowy warszawiak zapytany o to, co się dzieje, rzekł krótko „ubecy biją studentów”. Na ulicy Chmielej (wtedy Rutkowskiego) milicja goniła młodzież, a w pewnym momencie dwóch rosyjskich cywilów wykręciło mi ręce i wepchnęło brutalnie do bramy. Na pytanie „co robicie?” dostałem pałką. Wepchnęli mnie do jakiegoś pomieszczenia, gdzie sprawdzano wielu młodych mężczyzn. Sprawdzali mi dokładnie teczkę, rewidowali.

W poniedziałek po południu na placu przed Wydziałem Górniczym Politechniki Śląskiej zaczęła się organizować demonstracja, a skończyła pod pomnikiem Mickiewicza w Gliwicach, rozgoniona przez oddziały MO. Potem były pobicia, robienie porządków przez „karzące ramię władzy ludowej”. Szukano „warchołów”, z Uczelni „zniknęło” kilkunastu studentów i młodych, zdolnych asystentów, między innymi Kawulok (obecnie docent w ITB), Owczarzy, Bradecki – (późniejszy dyrektor „Metalchemu”), Badora. Na Wydziale Budownictwa rozbito całą Katedrę Budownictwa Przemysłowego prof. J. Ledwonina – byłego prorektora, który odmówił uspakajania studentów słowami „to są osoby pełnoletnie i powinny wiedzieć, co robią”.

Po kilku dniach, gdzieś po 20 marca, wieczorem w moim pokoju pojawił się cywilny milicjant i po wylegitymowaniu powiedział „jutro o 9 będziecie na komisariacie na Barlickiego”. Na pytanie o co chodzi, padło „byliście w Warszawie?”. I tak się dla mnie zaczęła druga, o wiele trudniejsza, część wydarzeń marcowych. Atmosfera w katedrze i Wydziale uległa radykalnej zmianie. Znikła otwartość, a część pracowników zaczęła robić błyskawiczne kariery, które były możliwe tylko w niepowtarzalnym 1968 roku.

Wydarzenia, o których piszę, poprzedzały „sprawę” kursu zastosowań mechaniki. Otóż w styczniu 1969 r. prof. T. Kochmański – przewodniczący oddziału gliwickiego PTMTiS - rozesłał na Uczelni zaproszenia do udziału w kursie zastosowań mechaniki, który miał prowadzić doc. Sz. Borkowski, a towarzyszące seminaria z matematyki dr J. Marszał, J. Kubik i J.J. Telega. Wiadomość ta podana na Radzie Wydziału Budownictwa zaskoczyła naszego szefa, który się poczuł nią na tyle dotknięty, iż rozpoczął „czystkę” w Katedrze. W pierwszym porywie mieli ją opuścić K. Bojda, J. Kubik i J.J. Telega, a zakończyło się odejściem z Katedry J.J. Telegi na Wydział Górniczy oraz doc. Sz. Borkowskiego do tworzącego się Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Nie wchodząc w szczegóły tych bardzo przykrych zajęć, można dzisiaj powiedzieć, iż na wiele lat zatrzymano konieczne modyfikacje profilu naukowego Katedry z klasycznej wytrzymałości na rozwijane wówczas nowe problemy mechaniki. Natomiast prezentowane przez doc. Sz. Borkowskiego na kursie zastosowań mechaniki zadania termosprężystości, teoria równań konstytutywnych, problemy plastyczności i reologii dały niepowtarzalną szansę na nadrobienie tego dystansu. Na początku zaś należało zapoznać słuchaczy między innymi z rachunkiem tensorowym, wariacyjnym, czemu miały służyć nasze seminaria z matematyki, za które spotkały nas nieprzyjemności. Po latach trzeba przyznać, iż pomysł był wymieniony, zaś kurs mógł się stać kuźnią kadr naukowych z mechaniki w Gliwicach. Niestety, bezinteresowny zapał i wkład pracy doc. Sz. Borkowskiego uległ rozproszaniu, aczkolwiek kilku słuchaczy kursu uzyskało doktoraty. Myślę jednak, iż mogło być znacznie lepiej.

Pisząc tak obszernie o wydarzeniach lat 68 i 69 chcę oddać zagubienie młodego asystenta w Uczelni, w której prof. Sz. Borkowski należał do grona tych nie tak licznych osób, które zapewniały jej naukową wiarygodność i psychiczne wsparcie w niesprzyjającym nauce czasie. To niby mało, ale wówczas znaczyło bardzo wiele. Potrafił życzliwą, ale i ironiczną uwagą mobilizować do pracy, np.: „Należy się wziąć panie kolego za coś poważniejszego niż sprężyste ramy i belki, nawet drgające. To trzeba już umieć i wymagać od studentów. Poważny asystent nie może w tym widzieć przyszłości”. I tak się stałem specjalistą z reologii, a Joachim z plastyczności. O ile wiem, obaj jesteśmy do dzisiaj wierni tej swoistej zasadzie „minimum ponad sprężystego”. Podobnie po przydzieleniu mi na studiach doktoranckich różnych wykładów z zastosowań matematyki w problematyce mechaniki cieczy, przepływach ciepła itp. na moją uwagę, że to poza moją specjalnością, rzekł przekornie: „Przecież się pan tego nauczy i jeszcze za to płacą. Nie może być nic lepszego. A pracownik musi być stale przygotowany do dobrego prowadzenia wykładu z głowy, a nie z poźółkłej kartki. Zresztą nasypali drobnych z piachem, panie kolego” – jak kończył każdą taką rozmowę. Wtedy też, począwszy

od tego nieszczęsnego kursu zastosowań mechaniki, było stale organizowane u Profesora seminarium z problemów matematycznych w mechanice. Jego kontynuacją były nasze seminaria, które prowadziliśmy dalej po odejściu z Instytutu Matematyki we własnych zespołach naukowych. Natomiast w przerwie semestralnej organizowaliśmy zimowe szkoły mechaniki. Cechowały je wielogodzinne, zacięte dyskusje z dr. Julianem Marszałem na tematy „okołomatematyczne” w mechanice. Można powiedzieć, iż zapewnialiśmy kontynuację tych idei, które legły u podstaw kursu zastosowań mechaniki. Sądzę, iż atmosfera tych seminariów po latach zaowocowała pokaźną ilością wychowanej przez Jubilata bezpośrednio i pośrednio kadry naukowej. Dość stwierdzić, iż dzisiaj Profesor posiada nie tylko liczne grono prawników naukowych, ale z profesorów i doktorów habilitowanych, pochodzących w pierwszym i drugim pokoleniu z Jego szkoły, mógłby skompletować zespół, który otrzymałby uprawnienia do nadawania doktoratów. Jest to wynik raczej wyjątkowy na uczelniach technicznych, które ciągle są nękane trudnościami kadrowymi, szczególnie w gronie profesorów.

Z perspektywy 30 lat fakty się zacieraają, ostrość przechodzi w łagodność. Niestety, nawet dzisiaj obserwuje się skutki tej „kontroli społecznej, jakiej muszą być poddane środowiska naukowe”, jak to powiedział wówczas minister Jabłoński. Zostały przede wszystkim zniszczone więzi w społecznościach naukowych. Walczono wówczas bardzo skutecznie z autorytetem profesorów i w ogóle z autorytetami. Wyrocznią mieli być funkcjonariusze partii.

Rozpowszechniony szczególnie wówczas relatywizm etyczny w nauce jest jej zmorą do dzisiaj. A zaczęło się w marcu 68 roku.

Jan Kubik